

## 4. Rower

Pięknie jest mknąć na rowerze wiosennym światem, gdy z brzoź opada zielonkawa rosa. Pięknie jest zanurzać się na rowerze w jesienną mgłę nasyconą zapachem borowików, smutnych i dumnych niby cygańskie oczy. Ale najbardziej lubię poranki letnie. Wtedy granica między dniem a nocą jest tak cienka jak złoto na drzwiach ikonostasu w naszym soborze i można sny przemycać na jawę, nie gubiąc z nich ani jednego oddechu.

O piątej trzydzieści wyprowadzam rower, a słońce już przytupuje o dachy parterowych domków, niecierpliwi się i woła: „Szybciej, Stefanku! Potrzebny jesteś!”. Więc sobie jadę, siedząc wygodnie na skórzanym siodełku. Siodełko skrzypi, obok przesuwiają się domy i ludzie, ale wszystko jest tak, jakbym siedział już za okienkiem mojej kasy biletowej. Już widzę tę kolejkę w poczekalni, i słyszę ten gwar, widzę jak podchodzi ciotka Anastazja i prosi ulgowy do Białegostoku. I mówi: „Jadę do wnuków. Stęskniłam się po nich. Ach, Stefanku! Nawet nie wiesz jak się stęskniłam. Mam dla nich garść cukrowych grzybków. Sama kupiłam je na straganie przy cerkwi, jak był odpust świętego Mikołaja”. A po niej podejdzie pan Konstanty, obładowany wędkami i podbierakami, i plecakiem skrywającym nadmuchiwany ponton, i pan Konstanty zażyczy bilet do Siemianówki.

– Połówkę, wie pan, panie Stefanku, należy mi się, jestem na rencie – powie, ale zupełnie niepotrzebnie, bo pan Konstanty pobiera wojskową rentę od prawie czterdziestu lat, i właśnie jemu sprzedałem kiedyś swój pierwszy w życiu bilet. Była to połówka do Drohiczyna. Pamiętam dokładnie, bo nie wiedziałem wówczas gdzie leży ten Drohiczyn i już po pracy zapytałem pana naczelnika stacji, który, korzystając z pięknej pogody, spacerował z córką po peronie:

– Gdzie leży Drohiczyn, panie naczelniku?

– Nad Bugiem – odpowiada naczelnik, a jego córka, którą trzyma za rękę, dodaje:

– Bug to jest rzeka na polsko-radzieckiej granicy. Byliśmy tam na wycieczce w ubiegłym roku. Prawda, tatusiu?

– Prawda, Różyczko – przytakuje pan naczelnik i ogarnia mnie straszny wstyd, ponieważ jego córka jest ode mnie młodsza o jakieś osiem lat, a mimo to widziała miejsca, o których ja nie mam pojęcia.

Pamiętam swój pierwszy sprzedany bilet również dlatego, że w tym właśnie dniu po raz pierwszy zobaczyłem Różę.

Za panem Konstantym ustawi się pan Mikołaj, który od trzydziestu lat jest urzędnikiem w gminie Narewka.

– To co, panie Kostku, znów na rybki – niewinnie zagadnie pan Mikołaj.

– A jakże. W tym tygodniu biorą szczupaki. O, takie – odrzeknie pan Konstanty i rozłoży ramiona na całą szerokość.

– Panu to dobrze, a ja skończę jesienią dopiero pięćdziesiąt osiem. Daleko do emerytury.

– Bardzo się cieszę. Wygląda na to, że jesteśmy rówieśnikami. Powie pan kiedy dokładnie ma pan urodziny, to wyciągnę panu ładnego karpia albo szczupaka. Wyciągnę, choćbym miał tam siedzieć nawet tydzień, co mi tam. Czasu mam od cholery, w końcu na rencie jestem, no nie?

Z tą rentą pana Konstantego to była cała historia. Wczesną wiosną w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym ósmym roku trafił do Ludowego Wojska Polskiego. W normalnych wypadkach, gdy na świecie panuje spokój, gdy mężczyźni rankiem wychodzą do pracy, kobiety wyprawiają starsze dzieci do szkół, a potem, gdy jest ładna pogoda, z młodszymi wyprawiają się na spacer do parku, w takich przypadkach młodzi żołnierze najpierw uczą się stawać na baczność i na spocznij, potem ćwiczą lewą marsz na przykoszarowych placach. Dopiero potem kaprale i sierżanci pokazują im w jaki sposób wkłada się naboje do magazynku i jak należy trzymać kolbę karabinu, by w momencie wystrzału nie uderzała boleśnie w ramię. Właśnie tak to się wszystko odbywa w normalnych czasach. Ale marzec w sześćdziesiątym ósmym w niczym nie przypominał normalnych marcowych dni.

Na warszawskich ulicach demonstrowali studenci, domagali się rzeczy niepojętych zwykłemu ludowi, i ludowa władza zmuszona była użyć wszystkich sił, nawet młodych niezaprawionych w walce żołnierzy, by przywrócić ulice do jako takiego porządku. Ale nad ulicami powiewały transparenty, a w powietrzu fruwały wzniosłe hasła, niecenzuralne słowa i zwyczajne, wyrwane wprost z bruku kamienie. I jeden z takich kamieni trafił wprost w głowę młodego, szeregowego żołnierza Konstantego. Musiał być ten kamień wypuszczony do lotu ręką jakiegoś studenta filologii, bo po czterech dniach, natychmiast po odzyskaniu przytomności, żołnierz zaczął recytować wszystkie wiersze wyniesione ze szkoły podstawowej. Gdy po miesiącu choroba nie ustąpiła, a wręcz nasiliła się, co objawiało się nie tylko recytacją klasyków polskiej literatury, ale też nieudolnymi próbami wierszowania własnych przemyśleń, odesłano go do domu, przeniesiono do rezerwy i na rentę. Po jakimś czasie spokój domowego zacisza i zdrowe białowieskie powietrze zrobiły to, czego nie udało się zrobić wojskowym lekarzom. Myśli pana Konstantego wróciły na właściwe, prozaiczne tory. Szóstego dnia każdego miesiąca listonosz przynosił mu rentę, po południu pan Konstanty nabywał kilka nowych haczyków i żyłkę, wieczorem, przyświecając latarką, zbierał z trawnika tłuste i długie jak bat woźnicy rosówki. O świcie kupował bilet do Drohiczyna nad Bugiem, wsiadał do pociągu i tyle go widziano. Jedynie od czasu do czasu, gdy ludzka zawiść, która w całym świecie jest jedna-

kowa i przybiera zwykle postać dobrego obywatela, gdy zawiść ta, zatroskana losem ojczyzny kierowała pisma do właściwych urzędów, pan Konstanty zmuszony był udawać się przed oblicze komisji lekarskiej. Wchodził do gabinetu, salutował do wypłowiałej czapki, którą, po usunięciu orzełka, otrzymał na wieczną rzeczy pamiątkę od dowódcy plutonu i, uśmiechając się od ucha do ucha, recytował pełnym głosem: „Czołem panie doktorze! Jestem dziś w dobrym humorze. Jak ryba silny i zdrowy, ojczyźnie służyć gotowy”.

– Spocznij – mówił w takich przypadkach lekarz. Kazał panu Konstantemu usiąść wygodnie na krzeselku i patrzeć na swoją dłoń, którą poruszał w prawo, w lewo, znów w prawo i jeszcze raz w lewo. Potem prosił założyć nogę na nogę i małym gumowym młoteczkim opukiwał kolano. Czasem noga pana Konstantego podrygiwała śmiesznie, jak ryba świeżo wyjęta z wody, innym razem pozostawała nieruchoma i głucha na pukanie gumowego młotka.

Z czasem nawet najbardziej zatroskani o dobro ogółu obywatele przestali sobie zawracać głowę panem Konstantym, bowiem wokół czai się tyle zła i nieprawości, że można w nich przebierać jak w ulęgalkach.

Jeszcze później urzędnicy wysiedlili kilka wsi pod białoruską granicą, budowniczowie wzniesli na rzece Narew potężną tamę, która zatrzymała i spiętrzyła wodę, tworząc jezioro długie na jedenaście kilometrów. Teraz na polach i w ogródkach przykrytych wodą wypasają się tam dwudziestokilogramowe karpie i leszcze nie mieszczące się na normalnej patelni, i szczupaki

długie jak ramiona dorosłego mężczyzny. I pan Konstanty nie musi już tłuc się nad rzekę Bug, przesiadając się z jednego pociągu do drugiego. Za chwilę sprzedam mu bilet do Siemianówki i pan Konstanty wsiądzie do maleńkiego wagoniku, i na całe trzydzieści minut, bo właśnie tyle czasu potrzebuje wagonik na dotarcie do jeziora, odda się przemyśleniom – co też okaże się dziś skuteczniejszą przynętą na wielkiego szczupaka – srebrna metalowa błystka, czy może mały, żywy karasek?

Zanim mały wagonik ruszy w stronę Siemianówki, podejda do kasy grzybiarze. Poproszą o bilety do Dobrowody, lub do Policznej, gdzie kiedyś nikomu niepotrzebne pola zasadzono sosnowym lasem i długimi jak okiem sięgnąć rzędami brzeziny, i właśnie w czerwcu spod brzoź wysypują się pierwsze dorodne koźlaki. Na końcu, przestępując z nogi na nogę, tłoczy się hałaśliwa gromadka uczniów. Im nigdzie się nie śpieszy, bo przecież na najbliższym przystanku czekają wakacje.

Jadę rowerem i widzę te wszystkie twarze, i wiem, że więcej tam twarzy z przeszłości, a dzisiaj w poczekalni będzie tylko kilka osób, i nikt nie potrzebuje biletu, ponieważ są to pracownicy naszej kolei, udający się na swoje stanowiska pracy, rozsiane wzdłuż torów. Ale to nie ma znaczenia. Z przeszłością jest jak z ubraniami. Jedni mają ich wiele i zmieniają garnitury co miesiąc, te trochę tylko podchodzone odkładają do szafy, albo wynoszą na śmietnik, i natychmiast wy-

rzucają z pamięci te wszystkie desenie i prążki, i oddają w zapomnienie chłodny szelest bistoru, i ciepły dotyk prawdziwej wełny. Jeszcze inni w jednym garniturze idą przez lata. Znają na pamięć każde zadrapanie na marynarce i potrafią opowiedzieć historię każdej plamki na spodniach.

A ja lubię swój granatowy mundur i niebieską koszulę, i lubię ciemny krawat, który ucieka przez ramię i potrafi rozmawiać z wiatrem, i im szybciej kręcę pedałami, tym głośniejsza jest ta rozmowa, tak, że słyszę za uchem wyraźne „frrrr”.auta wymijają mnie i pohukują klaksonami. Wyfasowane na błysk ople i ford, i pomrukujące ministerialnym dostojęstwem mercedesy, i nawet nasze poczciwe polonezy, wyrwane z ciasnych garaży i przyblokowych parkingów, wszystkim im wydaje się teraz, że są siostrami i braćmi prawdziwej wolności. I widzę kierowców niedbale rozwalonych w fotelach, sięgających spojrzeniem za granicę czasu. Widzę ich i przypomina mi się tatuś. Gdy już wygrzebał się spod sterty obuwia, od podłogi po sufit zalegającego warsztacik, gdy wyszedł na podwórko i do ogrodu, i nocą, w tajemnicy przed całym światem zakopał głęboko w ziemi sztydło, młotek i szewskie kopyto, i gdy wyrzekł sakramentalne, skierowane do mnie „będziesz kolejarzem”, wtedy właśnie przeniósł się na strych. Przyświecając lampą naftową przeglądał kufry z książkami, co zostały po stryju Wiktorze. Dopiero teraz, ze zdziwieniem odkryliśmy, że książek uzbierało się znacznie więcej niż ktokolwiek się spodziewał. I tatuś siedział

na strychu całymi dniami, wertował te książki strona po stronie, a matka co godzina wspinała się po stromej drabinie w obawie, że od tej lampy mogą zająć się płomieniem pajęczyny, następnie stare ubrania, dach i cały dom. W końcu poprosiła znajomego elektryka, by przeciągnął na strych kabel z żarówką. W świetle żarówki ogarnęła pajęczyny, poukładała w zgrabne kupki stare kurtki i spodnie, i w miarę uspokojona zeszła na dół. Przy elektrycznym świetle ojciec mógł czytać znacznie szybciej, ale nim dotarł do ostatniej książki, i do ostatniej strony minęły jeszcze dwa miesiące. Któregoś dnia zupełnie niespodziewanie pojawił się w kuchni. Chudy i przygarbiony, z brodą sięgającą pasa, uśmiechał się spokojnie i promiennie jak człowiek, przed którym świat nie ma żadnych tajemnic. Przysiadł na krześle i, wpatrując się w buszujący pod płytą ogień, rzekł: „Ze wszystkich istot, rzeczy i zjawisk znanych naturze tylko światło jest naprawdę wolne. Wyrusza w drogę jeden raz i nigdy nie wraca do domu”.

Uspokojony ostatecznie, że nie zmarnował życia na uganianie się po ścieżkach, które, w ostatecznym rozrachunku i tak sprowadzają człowieka do punktu wyjścia, przeszedł do sypialni, przyłożył głowę do własnej, jakże znajomej poduszki i zmarł.

Wsiadając na rower, starannie zawijam prawą nogawkę do połowy łydki, albo spinam ją agrafką. Metalowa zębatka, gdy nabiera na grzbiet oczka łańcucha, i całą dynamikę pedałów przenosi na tylne



koło, wykazuje też chorobliwe zaciekawienie spodniami rowerzysty. Potrafi obwąchać nogawkę, niewinnie liznąć ją raz i drugi, przelotem głośnąć szew i mankiet, a potem, w najmniej odpowiedniej chwili, capnąć stalowymi zębami.

Mój rower nie ma konkretnego wieku. Łączy się w nim stary, solidny radziecki „Ural”, kupiony za pierwsze zarobione pieniądze, z o wiele młodszym, lekkim jak wiatr polskim „Albatrosem”. Pocziwy „Ural” służył mi wiernie przez długie lata i pewnie służyłby do dziś, gdybym w swoim czasie nie dał się skusić pięknu, o którym teraz, gdy przeżyłem pół stulecia wiem, że jest iluzją. Pozwala siebie dotknąć, a nawet wziąć w ramiona, a potem wywija się zręcznie i kpi ze wszystkich, którzy uwierzyli, że można je zatrzymać na zawsze. Jednak w pewnych sprawach ludzie są niepoprawni i nigdy niczego się nie nauczą, więc i mnie któregoś dnia skusiła błyszcząca, niklowana kierownica, i przekładnie – specjalne piaszczyste ścieżki i na asfaltowe drogi, do zjeżdżania z górki i do wspinania się pod górę, do ścigania się z czasem i do takiej jazdy, gdy człowiek nigdzie się nie śpieszy i może w pełni oddać się podziwianiu piękna natury. Miał też ten „Albatros” hamulce na oba koła, odblaskowe światelka na tylnym błotniku i przy pedałach, i nawet osłonkę na łańcuch. Zobaczyłem go przed sklepem pana Kononiuka, który handlował rowerami. Miał ich setki, zapełniały cały sklep i zaplecze, a najpiękniejsze wystawiał na chodnik przed sklepem. Mieniły się w czerw-

cowym słońcu wszystkimi kolorami tęczy – damki dla kobiet i męskie, z ramami, dziecięce średniej wielkości i zupełnie małe, dla brzdąców, co dopiero wczoraj nauczyły się stawiać pierwsze kroki. Ale ja wybrałem właśnie ten. Pomalowany na czerwono, nabłyszczony lakierami ucieleśniał sobą piękno, któremu nie sposób się oprzeć.

„Wybacz mi stary” – pomyślałem o wieloletnim, wysłużonym towarzyszku, wsiałem na czerwone, błyszczące cacko i pojechałem na popołudniową zmianę. Wniosłem rower do poczekalni – okazał się nad podziw lekki – oparłem o ścianę przeciwną do kasowego okienka tak, by przez cały dyżur cieszyć się jego widokiem.

– Piękny rower. To twój, Stefanku? – zapytał konduktor Leon.

– Mój, dzisiaj kupiony.

Konduktor Leon kończył akurat służbę, przeszedł przez poczekalnię i skierował się do dyżurnego ruchu. Przekazał mu wszystkie służbowe dokumenty i po kilku minutach pojawił się z powrotem.

– Ładny roweryk – cmoknął z podziwem. Wyszedł na peron, przeszedł na parking, wsiał do dużego pomarańczowego fiata i odjechał.

Tego popołudnia jestem w znakomitym nastroju. Targają mną niejasne, ale radosne przecucia, że oto zdarzy się coś niezwykłego. Na razie to coś nie ma kształtu, ani imienia, lecz jest tak blisko, że odczuwam jego obecność. Obserwuje mnie, dotyka wzro-

kiem i radość miesza się z niepokojem, a pewność ustępuje zwątpieniu. Jakbym za chwilę miał wsiąść do wehikułu czasu, nie znając konkretnego celu podróży. Więc strząsam wszystkie zwątpienia, lekką ręką sięgam do półki z biletami, przystawiam datownik, podaję bilety i, życząc wszystkim szczęśliwej podróży, uśmiecham się. I od czasu do czasu zerkam na zegarek. Bywają dni, gdy czas zamienia się w ptaka, w jednej chwili wznosi się na tle wschodzącego słońca, ale nim się człowiek obejrzy, już stawia czarną kropkę na zachodniej linii horyzontu. Innego dnia wlecze się nieporadnie, jest wędrowcem zanurzonym do kolan w błotnistej topieli, a ponaglany jeszcze bardziej spowalnia krok.

Punktualnie o dwudziestej drugiej przekazuję obowiązki mojej zmienniczce Olesi, stawiam długi sus i już jestem przy rowerze. Dotykam kierownicy, głaszczę siodełko i słyszę jak kierownica i siodełko odpowiadają mi takim samym gestem. Ten rower żyje. Wychodzimy w noc i w czerwcowym półmroku granat nieba i złoto gwiazd, przemieszane z czerwienią, układają się wokół ramy w purpurową poświatę. Wystarczy nacisnąć na pedały i w tej samej chwili znajduję się w dowolnym miejscu na świecie. I znów podchodzi to coś, czuję jak oddycha, jak dotyka mnie spojrzeniem. Odwracam się. Z peronu patrzy na mnie Mariola. A potem uśmiecha się i rusza w moim kierunku. Teraz całe ciepło lata, ściśnięte w jedną garść, wlewa się we mnie, najpierw do serca, a stamtąd rozplywa się w górę i w dół, rozpala policzki,

ciężkim ołowiem toczy się do palców rąk, do stóp. Rozglądam się na prawo, na lewo, oglądam się za siebie. Tak, jestem na tym parkingu sam jeden i Mariola niewątpliwie idzie do mnie. Ta sama Mariola, która codziennie przecina poczekalnię przed okienkiem mojej kasy i kieruje się do dyżurnego ruchu, a ja śledzę ukradkiem każdy jej krok, i każde cmoknięcie obcasika o posadzkę zapisuję jak nutę na niewidzialnej pięciolinii, a potem, późnym wieczorem przegrywam te nuty pod akompaniament serca i zasypiam.

Chaotycznie przeczesuję kieszenie, zupełnie nie pamiętam czego tam szukam, a ona idzie i idzie, już jest obok, już ogarnia mnie zapach jej perfum.

– Podrzucisz do domu? – pyta i pieszczotliwie głaszcze obsypaną srebrem, niklowaną kierownicę.

– Na rowerze?

– A dlaczego nie – jej uśmiech jest jaśniejszy od Drogi Mlecznej.

Sadowię się na siodełku, mocno zaciskam palce na kierownicy, prawą stopę ustawiam na pedał, lewą opieram o krawężnik rozdzielający parking i przydworcową uliczkę. Mariola stoi obok. Z głową lekko przechyloną na ramię przypomina młodego ptaka, z zaciekawieniem przyglądającego się otoczeniu.

– No jak? – powtarza pytanie, a ja opuszczam dłoń, odsłaniając ramę roweru.

– Chyba pani żartuje... Chyba żartujesz, Mariolu? – milknę. Uświadamiam sobie, że oto pierwszy raz zwracam się do niej po imieniu i jej imię dotyka moich ust jedwabną chusteczką czerwcowego wieczoru.

Chcę powtarzać jej imię – jeszcze raz, i jeszcze, i jeszcze, i w nieskończoność. Ale głos utyka gdzieś w gardle, jak zawsze, gdy rozmawia się z marzeniami, które śpią w nas od wielu lat, aż zupełnie niespodziewanie otwierają oczy, podchodzą na wyciągnięcie ręki, uśmiechając się obietnicą spełnienia. W końcu ogromnym wysiłkiem wyciskam z siebie dwa słowa:

– Żartujesz, Mariolu?

– Ależ skąd, wcale nie żartuję – śmieje się i miękko łąduje na ramie. Nie bardzo wiem, co mam robić dalej, robię więc to, co robi się instynktownie. Mocno popycham Ziemię, pogrążoną w złotym czerwonym pólnie, podrywam stopy i naciskam na pedały. Rower kołysze się i rusza. Długie nogi Marioli postukują o asfalt obcasami bucików, więc ugina kolana, unosi tak, że niemal dotykają podbródka. Są bardzo blisko, mogę ustawić na nich lewy łokieć i posłuchać jej serca, zamkniętego tuż pod białą skórą, w każdej tkance, w każdej, najmniejszej żyłce, i zaczynam żałować, że wcześniej nie zdjąłem marynarki, pod którą mam koszulę z krótkim rękawem. Moje prawe kolano, wędrując do góry zgodnie z rytmem pedałowania, raz po raz dotyka przewieszonych przez ramę pośladków, więc pedałuje coraz szybciej, letni wiatr wybiega nam na spotkanie, a rower wdziera się w ciepły podmuch, i wiatr przelatuje obok, zagarniając włosy Marioli, rozsypując je na mojej twarzy przyjemnymi łaskotkami. Skręcam w Warszawską, pod kołami chrzęści kamienisty bruk, wpadam na asfalt wyływający z Piłsudskiego, zaraz za mleczarnią po-

winiennem skrócić w prawo, we Wrzosową, ale Mariola woła:

– Prędkiej, prędkiej! Nie zatrzymuj się!

Więc mknę aż do granicy miasta, za ostatnim domkiem wpadamy w objęcia puszczy i w absolutną ciemność, jedynie nad szosą i nad naszymi głowami płynie rzeka gwiazd. Mariola śmieje się głośno i zadziera głowę, jakby chciała zanurzyć policzki w złoty strumieniach gwiazd, a wtedy moja twarz całkowicie zanurza się w jej włosach, które są niczym innym jak przedłużeniem leśnej ciemności.

– Jeszcze? – pytam, dotykając wargami jej ucha.

– Dalej, jeszcze. Nie zatrzymuj się, – odpowiada okrzykiem. Z jej włosów wybiega elektryczny prąd i rozpryskuje się iskrami na wszystkie strony. Pedaluję tak szybko, że moje prawe kolano tworzy już jedną nierozdzielalną całość z pośladkami Marioli, mój granatowy krawat przeplata się z jej służbowym krawatem, i te krawaty są jak dwie piękne ryby zdążające w górę potoku, do miejsc, gdzie czystym źródłem zaczyna się ich wszechświat. Raptownie pragnę, by ta droga, ta wąska wstążka asfaltu niedbale rzucona przez las okazała się granicą, za którą nie ma niczego i nikogo, tylko ja i ona, ja i Mariola. Wiem, że to nieprawda, że zaraz kilkoma domkami wtulonymi w puszcę wynurzy się Poryjewo, dalej będą Dubicze, następnie Kleszczele, Czeremcha. Wiem. Lecz czym jest wiedza w porównaniu z pragnieniem? Unosimy się wyżej i wyżej, fruniemy w koronach świerków,

dotykamy wierzchołków najstarszych dębów, a włosy Marioli są pełne gwiazd. Zanurzam prawą dłoń w jej włosach, chwytam te gwiazdy i upycham do kieszeni. Ale jest ich zbyt wiele, więc zupełnie puszczam kierownicę, i już dwiema rękoma zbieram gwiazdy, i wysypuję je Marioli za kołnierz munduru, za bluzkę, a ona cała zamienia się w śmiech i w światłość.

I wtedy słyszę głośny trzask. W pierwszej chwili myślę, że przebiliśmy niebiańską kopułę, jak strzała przebija mocno nadmuchany balon, i za chwilę znajdziemy się po drugiej stronie niebios. Ale to nie są niebiosy. Przednie koło werżnęło się w gruby sosnowy pień, spróbowało zrobić jeszcze jeden obrót, lecz, nie mieszcząc się w widełkach, zatrzymało się. Wszechświat ucichł i zgasł.

Leżeliśmy – ja po prawej stronie roweru, Mariola po lewej. Potem zobaczyłem jak unosi głowę, siada, poprawia włosy, wstaje, otrzepuje mundur z suchych, zeszłorocznych liści, przestępuje rower, podchodzi do mnie. Stoi w lekkim rozkroku tak, że moje nogi znajdują się dokładnie między jej nogami. Nigdy wcześniej nie widziałem Marioli z takiej perspektywy. Jeśli kiedyś na jej widok przywoływałem wyobraźnię słupy Heraklesa i białe kolumny Akropolu, nie było w tym najmniejszej przesady.

– Żyjesz? – zapytała.

– Tak – odpowiedziałem. – Jakoś żyję.

– To dobrze – odwróciła się, czubkiem buta trąciła zgięte w ósemkę koło, i szprychy odezwały się gło-

sem pękniętych skrzypiec. – Całkiem fajna jazda. Może powtórzymy kiedyś jeszcze raz – strząsnęła z włosów ostatnią gwiazdę, wypaloną do dna, spopieloną w suchy liść i poszła w stronę miasta.

Przyświecając księżycem obejrzałem rower. Nie nadawał się do użytku. Dotykałem pogiętych kół i odczuwałem ich bolesne cierpienie. Ścisnąłem w dłoniach zerwany łańcuch i czułem jak martwe oczka przesypują się między palcami. Widziałem przed sobą szybko oddalającą się postać Marioli, zarzuciłem rower za plecy i ruszyłem za nią.

Przez cały miesiąc dwa rowery składałem w jeden. Wymontowałem ze starego „Urala” siodełko, łańcuch, koła i przednią zębatkę. Koła oczyściłem z rdzy, odmalowałem i naprostowałem szprychy, nasyciłem smarami piasty i łańcuch. Wszystko to przełożyłem do ramy „Albatrosa”. W metalowym sklepie pana Kośki zaopatrzyłem się w gruby metalowy łańcuszek i solidną kłódkę z zatrzaskiem.

– Boisz się, Stefanku, że ukradną? – śmieje się zawiadowca, gdy na przydworcowym parkingu owijam łańcuszkiem ramę, przetykam ten łańcuszek przez obręcz tylnego koła, dwukrotnie ogarniam pień starego wiązu i, zatykając ogniwo w ogniwo, spinam je zatrzaskową kłódką.

Nic nie mówię. Nie wszyscy muszą wiedzieć, że tym łańcuszkiem spinam resztki marzeń, co jeszcze we mnie zostały. Nie wszyscy też muszą wiedzieć, że



czasem, gdy zanurzam się na rowerze w jesienną mgłę nasyconą zapachem borowików, opuszczam dłoń i pieczołliwie dotykam ramy.